Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 50. Poznań dnia 11. Marca. **1839.**

Literatura zagraniczna.

Podroże i wyprawy wojenne księcia Maxymiliana Wirtembergskiego w Polsce, w Litwie, na Rusi i na Ukrainie.

(Dalszy ciąg.)

Już też książę tak się wyćwiczył w szwedzkim języku, mając dobrą pamięć, a nadewszystko śmiałość w mówieniu, że podług zdania Karóla, mało co rodowitym Szwedom ustępował. Z królem Stanisławem mówił zwykle po francuzku, z innymi Polakami równie najchętniej po francuzku, a jeśli tego języka nie umieli, po łacinie.*)

Pozwolił król szwedzki officerom, żony swoje na zimę do Rawicza posprowadzać. Odtąd częste bywały bale i tańce, na które nasz książę uczęszczać, a nawet tańczyć musiał, do czego nigdy nie miał ochoty; albowiem przez nieustanne jeżdżenie na koniu, stał się nawet już prawie do tańca niesposobnym. W ogólności jednak szwedzcy officerowie dobrymi byli tancerzami, i lubili się wytwornie na balach okazywać. Król zaś nigdy od swego nie odstąpił zwyczaju, nic w ubierze, jedzeniu i piciu nie zmieniając. Jeśli się pokazał na jakim wieczorze, to tylko na chwilę. Wszelako niczego nie zaniedbał, czego etykieta dworska wymagała. Skoro się zatem dowiedział, że żona i matka króla Stanisława do Rydzyny przybyły, wysłał natychmiast szambelana na powitanie, a nazajutrz sam osobiście je odwiedził. Królowa polska przyjęła go w przedpokoju; on ją za rękę do salonu odprowadził i zaczęła się między nimi rozmowa, choć nie bardzo potoczysta dla trudności języka. Król mówił po niemiecku, bo królowa ten język dosyć rozumiała. Po godzinie spełna bytności, pożegnał królowę. We dwa dni później nastąpiła, ze strony królowéj polskiéj i jéj matki rewizita u Karola w Rawiczu. Przy końcu leż zimowych w Rawiczu, to jest już w Maju roku 1705, wybuchnął pożar w mieście, blizko kwatery księcia, a że król szwedzki nigdy nie przestawał na samem wydawaniu rozkazów, ale sam zawsze działać chciał osobiście, wszedł przeto na dach budynku, który już był w ogniu. Nalegania officerów i żołnierzy, którzy go na miłość Boską zaklinali, aby się oddalił, były daremne. Gdy już nikt nie śmiał po palących się schodach do króla się dostać, odważył się na to nasz książę, przedarł się do niego przez gęste kłęby dymu, i przecię go namówił, że zszedł nakoniec na dół. A ledwo wyszedł na ulicę, zawaliło się całe piętro, na którem był przed chwilą, a długa jedna drabina ogniem zajęta padła na króla i powaliła go o ziemię. Osłupieli z przerażenia wszyscy przytomni, ale król porwał się natychmiast na nogi, i chociaż widać było na jego twarzy, jakąś odmianę, rzekł po szwedzku: »te skader nitet« (to nic nie szkodzi).

5tego Czerwca zaczął znowu objeżdżać leże różnych pułków. W tych wycieczkach był zwyczajnie książę nieodstępnym króla towarzyszem, odbywały się one jak zawsze w największym pędzie konno, częstokroć bardzo daleko, tak w nocy jak wednie. Często także oddzieleni od wszelkiéj służby przybocznéj, samowtór czwałowali. Przy pierwszym takim powrocie z Kalisza do Rawicza zmylili drogę, całą noc błądzili, przyczem książę nie tylko kilka razy z koniem się zwalił, ale nawet w głębokiem bagnie tak zagrzązł, że go król wydobyć musiał. Zrana dopiero zmokli i zbłoceni do kwatery wrócili.

Chcąc nakoniec przyspieszyć koronacyą króla Stanisława, która jeszcze wiele doznawała trudności, zbliżył się ku Warszawie król szwedzki, i stanął w Błoniu 17go Września.

(Tu sprawa i szczegóły koronacyi króla Stanislawa i żony jego Katarzyny z Opalińskich.)

8go Stycznia roku 1706 ruszył król szwedzki z wojskiem swoim z Błonia przez Warszawę ku Okuniewu, pod czas tak ostréj zimy, że wszelka żywność, chleb, mięso, piwo, nawet wino zamarzały. Rozkwaterował potem król pułki swoje na jeden tylko dzień, to jest na

*) Ta więc tak powszechna łacina przyczyną była, że mało który z cudzoziemców polskiego języka się uczył.

święto Nowego roku, podług szwedzkiego czyli starego kalendarza. Następnie ruszył daléj na Węgrów do Krzemieńca, gdzie miała być przeprawa przez Bug. Gdy jednak rzeka nie była jeszcze zupełnie stanęła, a król nie był dość cierpliwy czekać, kazał na lodzie most wysłać ze słomy, ten wodą oblewać, a skoro zamarzła, nową na wierzch posłać słomę, i to tak grubo, póki w ten sposób mocny most się nie zrobił.

Skierował potem król pochód swój ku Litwie: pierwsza kwatera była we wsi Popławach, całéj od drobnéj szlachty zamieszkałéj, któréj nędza wszystko przechodzi, cośmy byli dotąd w Polsce widzieli. Daléj szło wojsko królewskie za cofającymi się Rossyanami ku Tykocinowi, a późniéj ku Grodnowi. Przez cały czas marszu wojsko bardzo cierpiało od zimna. Wszystkie trudy podzielał król i młody książę. Z Grodna udał się król wzdłuż prawego brzegu Niemna do Żołudka.

Od okolic Grodna ku białéj i krasnéj Rusi rozciąga się już wiara grecka. Kościoły tu nawet inny mają kształt zewnętrzny. Nie mają one wież, jak katolickie, ale trzy mniejsze wieże, od góry zaokrąglone i między sobą skupione, z których średnia wyższa jest od bocznych. Wewnątrz kościoła nie ma siedzeń, bo wszyscy stać albo leżeć na ziemi muszą. Nie ma też organów na chorze. Najgłębsza część kościoła, zamknięta jest ścianą malowaną, i tam tylko ksiądz, albo tak nazwany pop wnijść ma prawo.*)

Wkrótce kazał król most wystawić na Niemnie, a gdy często dojeżdżał dla przyspieszenia robot, raz ledwo co życia niepostradał. Powracając wieczorem piechotą po zamarzłéj rzece, aż do miejsca, gdzie konie wierzchowe czekały, nie postrzegł dużéj przerębli, która nieco była z góry zamarzła, wpadł w nią i prawie już go nie było widać, a co najgorsza trudno było komukolwiek dojść do niego, bo że wszystkich stron lód był za słaby, i każden przybywający załamywał się. Książę nasz położył się więc rakiem na lodzie, za nim hrabia Wachtmeister i przywlokłszy się aż do króla, jeden go uchwycił za pachę, drugi za pendent od szpady, i tak z największem natężeniem zdołali go przecię wyciągnąć. Jenerał Steinbok, który cały zbladły i przestraszony nadbiegł, zaklinał króla, aby raczył wstąpić do jego kwatery, osuszyć się i rozgrzać, lecz król nie chciał i odrzekł podług swego zwyczaju: »Te skader nittet.« Natychmiast dosiadł konia, choć woda z odzieży jego sączyła, i ruszył na powrót; ale nie na tem się skończyło.

*) To samo jest i po dziś dzień, ale w tem błądzi autor, że te wszystkie kościoły za greckiéj wiary uważa. Już w tym czasie były one uniackie, to jest greckiego obrządku, ale wyznania rzymsko katolickiego.

Gdy swoim zwyczejem zaczyna znowu czwałem biedz na koniu, potyka wielki wóz, na którym drzewo do nowego mostu zwozili, pada z koniem pod koła, i byłby niechybnie zgruchotany, gdyby ludzie za wczasu nie byli schwycili konie. Wydobywszy się z pod kół, znowu król siada na konia i w czwał rusza. Nim jednak dojechał do Żołudka, znowu z koniem tak padł niebezpiecznie, że się długo z pod konia wydobyć nie mógł. Nazajutrz król cały dzień w kwaterze pozostał i dał posłuchanie deputacyi miasta Wilna do niego wysłanéj. Tymczasem bawił się książę dla skrócenia sobie czasu, polowaniem na niedźwiedzie: raz wpadł z koniem po szyję w głębokie bagnisko, w takiem topielisku, że jego samego ledwo wyciągnęli, koń zaś utonął.

Gdy most został skończony, w czasie lepszéj już pory kwietniowéj, posunęło się wojsko na Słonem i Rożanne ku Berezie,*) mając zawsze trudne do przebycia bagniska.

Gdziekolwiek szwedzkie podjazdy spotykały się z litewskiemi Ogińskiego lub Wiśniowieckiego, napadały je i brały w niewolę. Król officerów tylko zatrzymywał, prostych zaś ludzi odsyłał. Golili im tylko brodę, podcinali odzież aż po pas, i dawali im w rękę chorągiew, na któréj dom był wymalowany, na znak, że do domów mają powrócić, tudzież paszport, w którym wyrażono, że gdyby drugi raz dali się złapać, będą powieszeni.

4go Maja przybył król do Pińska. Jest to miasto dość obszerne, ale źle zabudowane i położone pośród samych bagnisk, które w czasie wiosennych wylewów, jakby morze, jakie do koła się rozciągają. Główna tego przyczyna jest, że siedem rzek, płynących płaskiemi korytami, w tych się okolicach schodzą. Król ścigający wciąż tylną straż Rossyan, chciałby był jeszcze daléj się posunąć, ale udawszy się dla rozpoznania kraju na dach Jezuickiego kollegium, i widząc wodę na wszystkie strony, rzekł do otaczających: »*non plus ultra!*«

Wkrótce potem król otrzymawszy rapport, że zamek Lachowicki Szwedom się poddał, chciał, aby inne zamki téj okolicy, należące do Augustowskiéj partyi magnatów, równie prędko były zdobyte, i na ten koniec z Pińskiéj swojéj kwatery codziennie długie robił konno wycieczki, jak zwykle nikogo o tem nie uprzedzając.

*) Ten kierunek marszu już był wsteczny, bo już w okolicach Grodna dowiedział się był król Szwedzki o bitwie pod Wschową, i o zniesieniu przez Rönschilda połączonych wojsk saskich i rossyjskich. To wydarzenie, które powinno było utwierdzić Karola w postanowieniu ścigania Rossyan, i ratowania najechanych swych prowincyj baltyckich, właśnie przeciwnéj miało skutek. Ślepą tylko powodowany nienawiścią ku Augustowi, zapomina o dobru kraju, a nawet dynastyi swojéj, w niesłychaném obłąkaniu dąży ku Saxonii, i tą niedorzeczną napaścią zniszczył na przyszłość wszelką siłę polityczną Szwecyi.

Książę nasz pragnący z serca mieć udział w każdéj wyprawie, skoro się o takim zniknieniu króla dowiedział, zwykł pędzić za nim w tę, lub ową stronę, a najczęściéj nie dognawszy króla, smutno do kwatery powracał. Jednego razu piętnaście mil polskich, tym sposobem daremnie na koniu pędził i dopiero o drugiéj z północy do noclegu się wrócił. Innego dnia po kolacyi król znowu potajemnie wyjechał. Że jednak domyślić się można było, że miał jakiś zamiar ważniejszy, wziął książę z sobą pułkownika Grothusen i pojechali o dziesięć mil do zamku Zawierza do Wiśnowieckich należącego, oblężonego przez oddział szwedzki. Ale i tam króla nie znaleźli, już był bowiem powrócił do kwatery głównéj i wywiadywał się o księciu, a gdy mu powiedzieli, że książę wyjechał szukać króla; nazajutrz przede dniem sam do Zawierza pospieszył, i tą razą się spotkali.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Literatura krajowa.

P o e z y a.

Rzeczywistość.

Wieku marzeń, uniesień, niewinnych, miłośnych,
Niech ci piosnkę ostatnią żegnalną poświęcę!
Jam wdzięczny ci za tyle chwil smutnych — radośnych,
I za uśmiech dziecięcy i za łzy dziecięce.

Rozkosze, com was z młodych usnuł wyobrażeń,
Coście mię unosiły ku jakiéjś krainie
Fantastycznéj, dziwacznéj, pełnéj natchnień, marzeń,
W których duszą tonąłem, jak pijany w winie.

Żegnam was dzieci snów mych! już przeszłość zużyta,
Co ślicznémi ułudzeń nęciła widoki,
W wyschłych spłowiałych uczuć obrazie przekwita,
Pozbawiona mamiącéj, tęczowéj powłoki.

Ale mamże złorzeczyć, że z przeszłości całéj
Pamięć tylko po blasku została utracie,
I że dawne uczucia przygasły, zmalały,
Że znikł urok, co w boskiéj wystawiał je szacie?!

Śmieszna przeszłość! . . . owiane w obłoki i chmury,
Po księżyca promieniu natchnienie płynęło,
To z wdzięków czarodziejki — z obrazów natury . . .
Eh, to gra wyobraźni — to fantazyi dzieło! . . .

Pieśni, w których uczucia dziwnie malowałem:
To czułe — to rozpaczne — to miłe — to smętne —
Raz nękane boleścią — znów groźne zapałem —
Czasem dziką młodzieńczą żądzą namiejętne;

Przebrzmiały mi po sercu — i na raz skonały,
Znudziły, jak natrętne uściski kobiety.
A gdzież tła moich marzeń: owe ideały?
O, z ideałów nagie zostały szkielety.

Więc i pieśni pożegnać? o, nie żegnam pieśni!
A choć się przemarzyło rozkosze niewinne,
Choć ziemska myśl nad ziemskich ideałów nie śni,
Lecz pieśni jeszcze będą, ale pieśni inne.

I jakąż wam o bracia! zanucić w téj porze?
Niech będzie męzka, groźna, ponura i dzika,
Niech płonie ogniem życia, jak poranne zorze,
Niechaj serce rozrzewnia i duszę przenika!

A nie z nieba dla ziemi porywać obrazy,
Ale ziemię podźwignąć i zbliżyć ku niebu.
Nie nad grobami płakać, lecz ożywiać głazy,
I śpiewać pieśń urodzin, a nie pieśń pogrzebu!

A. Sz. 1838.

Moj taniec.

Bo jeźli się zaśmieję, to jak za pokutę,
A jeźli pieśń zaśpiewam, to na dziką nutę.
Marya. — Malczewski.

Patrzyłem, jak zwinnie, polotnie, wesoło!
Po sali tanecznie pląłało się koło.
I jabym pohulał, ale w innéj dobie,
W południe, w dzień jasny, — na grobie. —

Rodzinne me duchy — to dla mnie są pary,
Niech wstaną i w wieńce się splotą;
O! ja się tam wsunę z pijaną ochotą,
W tańczące, pokrewne mi mary!

Bo tutaj śród ludzi, — oddechem szatana
Owiałbym panieńskie gorsety,
I w piersiach bym utkwił źrenice — sztylety,
W objęciach martwicą by padła »kochana!« —

A szkielet nieczuły bez szwanku uścisnę,
I utnę hołubca i huknę i świsnę;
Radością szatańską wykrzywię uśmiechy,
I doznam szalonéj wśród tańca uciechy! . . .

10. Lut. 1839. *F. Ż.*

Kirdżali.

Przez J. N. S.

(Dokończenie.)

Ref. starał się dotąd wystawić rzecz samę, jak się w poemacie rozwija, w przekonaniu, że tem samem najgodniejszy poklask odda talentowi autora, który w tak zwięzłym składzie Myśli rzecz swą wystawił, tak trafnie uchwycił związek ludu z ziemią, na któréj wyrosł, tak malownie zarysował obrazy pełne blasku i Życia. Wszakże ubliżyć powadze, może i szlachetnéj dumie jego by mniemał, gdyby go chciał zbyć wprost pochwałą pism jego. Dusza słaba, chełpliwa szuka pieszczoty, tęskni za poklaskiem i w nim samym całe szczęście swe znajduje; ale dzielny umysł nie pragnie ochrony, ani słów głaszczących, żąda sądu, — żąda szczerego, otwartego zdania. — Refer. przeto wyznaje, że winien jeszcze autorowi wykaz kilku uchybień, które zauwa-

żał, i pragnie wraz uiścić się z ciążącego nań długu: Cała summę przygan, jakie zrobić by można, da się nieledwo zbić w jedno ogólne spostrzeżenie, że autor zbyt często przerywa tok prostego, tak dzielnie zajmującego opowiadania, wplątaniem uwag, które mącą oryginalność zmysłowego wystawienia, a natomiast w rdzeń Ducha ludzkiego nie zbyt głęboko zachodzą. Za przykład niechaj posłużą chociaż następujące słowa autora: »Na tym Bożym Świecie, wszystko się dziwnie »dzieje; co jest dziś, to ludzie wiedzą, a co będzie ju- »tro, tego nikt nie zgadnie. Żeby do jednéj głowy ziem- »skiego mędrka na raz wpakować sto rozumów, »to jeszcze najbliższéj przyszłości niewyświeci: nie »ludzka moc świat ten stworzyła, nie ludzkim głowom »odgadywać, co Bóg Twórca zrobi etc.« *)

Inne, mniéj uderzające ustępy pomijam. Ref. wie aż nadto dobrze, że autor w podobnych uwagach nie myślał się bynajmniéj z głęboką filozofią popisywać i myliłby się niezmiernie, ktoby mniemał, że podług tych uwag o możności myślenia autora sądzić może, — Ref. wie dobrze, że te uwagi w zamiarze autora są tylko tłem występującego obrazu, mającego dać poznać stopień oświaty ludu, w którego łonie składa treść powieści; ale na to właśnie powiedzieć trzeba, że taka nielitościwie-rzetelna kopia prostoty gminnéj przechodzi granice Prawdziwéj Poezyi. **)

---

*) Redakcya szanuje zdanie, zwłaszcza tak wymownym sposobem objawione, lecz go w tym punkcie podzielać nie może. Zdaje jéj się bowiem, że miejsca owe nie tylko nie przerywają rzeczy, choć opowiadanie na chwilę spoczywa; ale owszem, będąc prawie zawsze tak naturalnym rzeczy saméj wypływem, nastrajają niejako duszę czytelnika do potrzebnych wrażeń. Są one miłem i potrzebnem wytchnięciem, jakiego Arab w swéj przyspieszonéj podróży przy orzeźwiającéj oazie kosztuje. Spoczywa wprawdzie akcya, bo nie jest, kulą jednym rzutem prosto do celu puszczoną, ale czynem z moralnéj woli człowieka wypływającym, z mniejszych podrzędnych czynności złożoną, która, gdzie chce i gdzie jéj wypada, zatrzymać się może. Jakoż zgadza się to zupełnie z naturą człowieka, że tenże będąc w położeniu nadzwyczajnem przechodzi do uniesienia, lub też zaczyna moralizować; jestto coś podobnego do monologu, do chóru starożytnéj sceny; a każda powieść podobnego rodzaju naznaczona piętnem geniuszu, obfituje w takie ogólne uwagi z doświadczenia i postrzeżeń pisarzy, mocniéj czujących i głębiéj myślących wyczerpnięte. Wszakże prości nawet ludzie zwykli w opowiadanie swoje wtrącać budujące uwagi, przytaczać przysłowia, które nie zaciemniają, ale owszem kraszą rzecz samę. *Uwaga Red.*

**) Używając wyrazu »prostota gminna i ganiąc wprowadzenie jéj do Poezyi, ostrzedz muszę czytelnika, że w tém miejscu wyraz ten bierze się tylko względnie do powyżéj oznaczonych ustępów powieści, sposób gminnego rozumowania wystawiających. Jest bowiem prostota gminna, — prostota uczuć i obyczajów, która do pewnego rodzaju Poezyi ma niemal wyłączne prawo. Naiwność może być ozdobą Poematu, ale trywjalność wykluczoną z niego być winna. *Przyp. aut.*

To wsuwanie uwag wsplot zdarzeń i przygód przeradza się często na chęć jakąś wyjaśniania tajonéj w zdarzeniu Myśli i nieraz psuje całą poetyczność pomysłu. Tak np. przy owéj śmierci Sawy, spieszącego do Kirdżalego z wieścią o żonie, autor jakby się obawiał, że czytelnik nie dostrzeże utajonéj Myśli o karze ścigającéj zbrodnie, cytuje dosłownie głos sumnienia Kirdżalego, wyznającego sobie, że to pewno będzie karą za złupienie Strazgrady. Tu już proza-analyza! — Gdyby n.p. ów szanowny Arcykapłan starego zakonu naszéj Poezyi Narodowéj, w ostatnim, Wielkim Poemacie swojem, przy śmierci księdza Robaka, kiedy po słowach konającego: »Teraz Panie sługę Twego puść z pokojem!« i daléj: »Wszyscy uklękli; a w tem ozwał się »pod progiem Dzwonek, znak, że przyjechał Pleban »z Panem Bogiem.« zamiast pięknego przeprowadzenia pierwszych promieni wschodzącego słońca na skronie chorego, tak »że błyszczał jako święty w ognistéj koronie,« był się z jakim wysokim podziwem niezmiernéj łaski Boga przyjmującego na swe łono, duszę żałującego grzesznika odezwał, albo myśl tę wysnuł z duszy kogokolwiek z przytomnych, czyżby przez to samo cały cudowny urok tego miejsca nie był uleciał? Czemużto też przy śmierci Sawy, gdzie właśnie odwrotny zachodzi stosunek, jaka potęga przyrody posępem zjawienia się swego nie zwiastuje gniewu Bożego? — Czemużto autor przelotu owéj Myśli o karze Boskiéj przez głowę Kirdżalego, zamiast studzenia go prozaicznem słowem, nie odmalował jakim osobnym giestem, jakim oryginalnym ruchem postawy, albo zmianą oblicza? A przecież sam autor bardziéj niż ktokolwiek czuć musiał, jak wymowny ów zamach ręki Kirdżalego, ile razy żelazna wola jego jaki czyn nowy a nagły zachwyci!

Bądź co bądź, każdy ruch jakokolwiek wyrazisty, suche nawet przejście do dalszéj osnowy powieści byłoby lepszém, od owego monologu, który nawet tak źle przypada do miary z duszą Kirdżalego, żałującego słowa, gdzie czemkolwiekbądź inném, chociaż prochem i kulą myśl lub wolę swą oznajmić może.

Są rzeczy w świecie zamysłowym, które tylko wpomroku jaśnieją do światła zbliżone, blask tracą i szarzeją. Taką rzeczą w Poezyi jest domysł, a światłem każde jego tłómaczenie. Tak i przeczucie wtenczas tylko powabne, kiedy go się niczem więcéj nie pojmuje, jedno własnem przeczuciem utajonego sensu. Na cóż nam więc było wyraźnie powiadać, że chwile jaśniejszego przejrzenia w zbłąkanym umyśle Sary Michaeli, były skutkiem tajemniczéj wiedzy jéj duszy, że mąż ukochany w pobliżu się znajduje i niszczyć przez to cały urok tak pięknie pomyślanéj Sympatyi?

Ale niechaj wspomnienia Sary Michaeli, tego Anioła Miłości i Boskiego Spokoju nie kalają moje słowa przygany. Jéj udziałem za życia było stać się mimowolnym przedmiotem zazdrości i zagniewania na siebie dwóch osób, niechaj przynajmniéj gwiazda jéj duszy przedrze się przez ciemną chmurę zwaśnień i harmonijnym dźwiękiem swoim umysłu do Zgody i Braterskiéj Miłości nastraja. Kończę me uwagi. *J. N. S.*

O poezyi satyrycznej w ogólności i w szczegole słów kilka o satyrze narodowéj.

(Dalszy ciąg.)

Zniewieściałość i zbytek wkradły się do kraju, cudzoziemski ubiór, obce języki i zwyczaje zagęściły się między możniejszą szlachtą, bo do naśladownictwa cudzoziemczyzny żaden prawie naród pochopniejszym nie jest od Polaków.

Te początkowe i małe złego zarody nieledwie zaraz w objawieniu się swojem występującą przeciw sobie satyrę miały; ale zgorszenie obyczajów, ani niezgody do tego stopnia nie doszły, iżby na się sprawiedliwie gniew i oburzenie ściągnąć mogły: ztąd satyra tych czasów przestrogą jest bardziéj niż satyrą. Owczesny stan rzeczy w Polsce podobnym był nieco do stanu rzeczypospolitéj rzymskiéj zaraz po Gracchowskich buntach: równa moc polityczna, równie złego początki i równa forma satyry. Mikołaj Rej w swym Wizerunku żywota człowieka poczciwego objął prywatne życie: śmieje się z zbytku i rozwiozłości, wyszydza wykwintność, nieobyczajność, daje zbawienne nauki i przestrogi tak żywym dowcipem, z tak naiwną humorystyką zaprawione, jaka tylko wrodzonego talentu udziałem być może. Jest on wprawdzie często rubasznym, pełnym gminnych wyrażeń, ale to mu tak gładko, tak naturalnie z pióra płynie, tak wyraźną ma na sobie cechę pierwotnego pojęcia, iż rubaszność jego bynajmniéj nie razi, owszem bawi i zajmuje. Daléj i głębiéj od Reja sięga Kochanowski w dwóch swoich satyrycznych wierszach satyr i zgoda. Mąż ten w istocie nadzwyczajny, prócz prawdziwego elegiczno-lirycznego talentu, prócz niezrównanych wielu innych zasług w literaturze polskiéj, tak miał prawdziwe przeczucie grożącego ojczyznie niebezpieczeństwa, iż wszystko, co tylko w tych dwóch satyrycznych wierszach prorockim niejako duchem przepowiedział, wszystko mówię zjściło się. Powstał on naprzód przeciw chciwości, za zyskiem goniącéj szlachty, podczas gdy dziki Tatarzyn bezkarnie zapuszczał w kraju zagony, plądrując granice rzeczypospolitéj; wyrzuca ziomkom, że bogactwa i złoto za najwyższy cel swych życzeń poczytują, niebaczni na to, iż dostatki wszelkie niecnoty i zepsucie narodów za sobą wiodą, ubóstwo zaś zaszczytne moc i potęgę wewnętrzną hartuje:

Prawda, że złota waszy przodkowie nie mieli,
A małobych tak nie rzekł, że go ani chcieli.
Jednak za swoim męztwem wielkie państwa brali,
I bogatym książętom prawa ustawiali.

Daléj zbytek w ubiorach, w biesiadach gromi, przeczuwając szkodliwy wpływ cudzoziemczyzny, ostrzega Polaków:

Wierzcie mi, że przy dobrych i złe tam znajdziecie.
A niewiem, które lepiéj smakują młodemu,
Ja głupi tak rozumiem i przytem zostanę,
Że Polskę nic innego o taką odmianę
Nie przyprawiło, jedno postronne ćwiczenie.

Nie uszło także bynajmniéj jego baczności niebezpieczeństwo grożące od tak licznych sąsiadów, których jedynie tylko postrach polskiéj broni, zabezpieczenie i umocnienie granic, oraz męztwo i cnota w karbach utrzymywały:

Niewiem, jaką tam przyjaźń z sąsiadami macie,
Albo jako daleko sobie dziś ufacie;
To tylko znam, że na nas pilne oko mają,
I co rok, to się bliżéj pod nas podsadzają.

Lecz najbardziéj powstaje przeciw owéj coraz bardziéj szerzącéj się niezgodzie. Prorokuje on cały ogrom nieszczęścia, które ztąd niebawem spaść miało i wiekiem prawie prędzéj owe straszne słowo Jana Kazimierza: »*utinam falsus vates essem*« wymawia:

A o nieprzyjaciołach swoich co trzymacie,
Których tak wiele w okoł, ile sąsiad macie?
Myślą o dobrym waszym, a patrzą pogody,
Jakoby was pozbawić do końca swiebody.
A otuchę im czyni nie siła, nie zbroja,
Ale tylko niezgoda, sławna Polska, twoja.
. . . .
Toby trzeba naprawić i przywieść w swą klubę,
Byście potym korony nieprzywiedli w zgubę.

Satyra jednakże Jana Kochanowskiego niema czysto satyrycznéj formy, znajdą się wprawdzie w niéj częste sarkazmy, dotkliwe przycinki, znajdzie się trafne pojęcie i wystawienie złego; lecz ani ów ciągle gryżący i trujący ton, ani też ów lekki wprawdzie, lecz ostry i do żywego dojmujący dowcip nie jest mu właściwym. Kochanowski bowiem nie był z natury satyrykiem, rodził się wieszczem lirycznym i tylko z czułego przywiązania, gorącéj miłości do ojczyzny, widząc z daleka grożące nieszczęścia w kształcie satyry wylał swe żale, ubolewając nad tem, że teraźniejszość tak się wyrodziła od dzielnéj ojców przeszłości. Dla tego też jego satyry bardziéj się do ojcowskich przestróg, lub przyjacielskich napomnień zbliżają. Więcéj już nierównie satyrycznego

ducha posiada poeta żyjący nieco późniéj od Kochanowskiego, Piotr Zbylitowski, który w swych wierszach: Przygana strojom białogłowskim wymyślnym, Rozmowa szlachcica polskiego z cudzoziemcem, również zbytki gromił i osobliwie śmieszność w strojach wyszydzał, lubo często wdając się w zbyt drobne szczegóły, jest niezrozumiałym, rozwlekłym, płaskim i mało ma poetycznego rzeczy pojęcia. I niedziw, że satyrykom tego okresu zbywało na ogniu, na zapale, na silnym gniewie przeciw obecnemu złemu, bo to podawało im w ówczas raczéj przyczynę do obawy i frasunku, a niż do oburzenia i pogardy. Atoli wkrótce zmieniły się rzeczy. Zbylitowski dożył jeszcze czasów upadającéj Polski, widział epokę zupełnego rozprzężenia socyalnego w rzeczypospolitéj. Zygmunt III. Szwed, człowiek słabego umysłu, niechętnego ku Polakom serca, nie mógł unieść ciężaru berła polskiego, którem silna Batorego prawica tak dzielnie władała. Otoczony zawsze licznym pocztem cudzoziemców i zagorzałych Jezuitów, niechciał i niemógł zrozumieć potrzeb narodu, gorszył go swą cudzoziemczyzną, niedołężnością paralizował najświetniejsze przedsięwzięcia, a prześladując różnowierców, zapalił pożar niezgody między dziećmi jednéj matki. Ztąd owa dysharmonia narodu z królem, ztąd zatargi i zaburzenia religijne, ztąd wreszcie nienawiść prowincyi ruskiego i dyssydenckiego wyznania. Pod tak niezdolnym rządem rozhukana szlachta nie znała, co to prawa: zajazdy, rokosze, zuchwałe przechwałki, porywanie się do korda, uciskanie innych stanów i miast, niszczyły handel i przemysł; mieszczanin był w pogardzie, a chłop niewolnikiem, bydlęciem zaciężnem. Zbytek niezmierny grassował w narodzie, pełno złota, srebra i drogich kamieni na ubiorach, naczyniach i sprzętach; rozrzutność kolosalna przy poselstwach, wjazdach, przekupstwach, a skarb publiczny próżny; wszędy chęć zysku, znaczenia, chciwość bogactw, ubieganie się na złamanie karku o starostwa, wszędy samolubstwo, prywata, a niewielka tylko liczba wybranych, cnotą, poczciwością i miłością ojczyzny oddychających.

W równie opłakanym stanie były stósunki zewnętrzne i polityczne. Kraj albowiem ciągłemi nieszczęśliwemi wojnami całkiem był spustoszonym i splondrowanym. Szwedzi, kozacy pod Chmielnickim, Rossyanie, Turcy i Tartarzy w różnych kierunkach przebiegali kraj nasz, paląc wsie i miasta, niszcząc wszelkie zakłady przemysłowe, kopalnie zatapiając, wyludniając całe prowincye, a rzeczpospolita nadto była bezsilną, aby im skuteczny odpór dać mogła. *(Dokończenie nastąpi.)*

Przegląd pism.

Niezapominajki, noworocznik na r. 1839., wydany przez K. Korwela.

(Ciąg dalszy.)

Dobosz.

Powieść z r. 1740.

Jakiżto tuman na polu i jakie wrzawy radośne? Wśród doliny mała chata; zdala od niéj dąb wyrasta stary, a pnia tak grubego, że czterech chłopów zaledwie objąć go zdoła. Od wieków pasterze używali pod nim chłodu, a w ranki i wieczory jesienne niecili ogień w pniu wypróchniałym. Choć go ogień zdawna niszczył, i wyprochniał już niemało, czołem zieloném od wieków jeszcze potrząsał zuchwale. W koło chaty zbrojni na koniach siedzą sami towarzysze; w koło dębu szlachta piechotna, z rusznicą na ramieniu rozpalili ogień. »Tam do diabła, pele tego,« rzekł jakiś wąsacz wysoki, »chyba bisa że ma w ciele; na własne oczy widziałem, jak ten poganin wybiegł z téj chaty. Chyba go ziemia święta pożarła« »»I ja to samo, odrzekł mu drugi, widziałem, żywie Bóg, prawda, Dobosz! o przeklęty Dobosz, co naszego Rawicza z dymem puścił. O gdybym go raz pochwycił, takbym w pieluchy okręcił, żeby mu kosteczka każda w drobny mak się pokruszyła.«« I wyciągnął żylaste ręce i potrząsł niemi groźnie. Ej tu nie ma co gaworzyć, poszukajma jeno pilnie, czy nie znajdziem tu gdzie szpary, w którą się ten łotr zacisnął; bo gdy zechce, w taką jamkę, gdzie jaszczurka się wśliźnie, to on wlezie i prześpi noc całą. Gdy jedni poczęli troskliwie wyszukiwać jakiéj jamy, pozostali przy ognisku dokładali coraz polan. I towarzysze konni, zmordowani pogonią, puścili konie na trawę, zeszli się do ognia, a podłożywszy siodła pod głowy, wyciągnęli ciała zmęczone. Wiatr poddmuchiwał w ognisku, a stary Jędra z Załucza, stojąc najbliżéj dębu, słyszał kilka razy oddech mocny, prawie przy swojém uchu, a nawet raz mocne zakrztuszenie: odwrócił głowę, ale nikogo za sobą nie ujrzał. Wziął to za głos jednego ze swoich towarzyszy, co zasypiali smaczno przy ognisku. A jednak gdyby był pochylił głowy do dębu, usłyszałby w pniu jego szmer cichy, czasem jęk mocniejszy, lub ciężkie westchnienie. Tam wciśnięty dyszał Dobosz, połykając dym czarny. W tym pniu już nie raz znajdował uchronę przed pogonią i omylił zajadłych gończów, co mu śmiercią grozili; ale teraz był w najgorszém położeniu: pień w części od spodu zwęglony, żarzył się coraz wyżéj, dym dusił mu oddech, iż nie mógł zachwycić świeżego powietrza; a jednak go błogosławił, bo on go jedynie zasłaniał od wrogów, co w koło zasiedli. Uciekać nie mógł, konni towarzysze wnetby go dopędzili; z całą więc odwagą czekał, co mu los zdarzy. A pień, jego obrona jedyna, żarzył się coraz silniéj Poczuł, że mu się tlą chodaki; rozdarta koszula nie zasłaniała zarosłych piersi; płomień, co buchnął nagle, zapalił zarost. Choć ból uczuł piekielny, szeroką dłonią przygasił pożar nagły i ochronił brodę, wąsy i głowę od spalenizny. Po spoczynku towarzysze konni ruszyli kłusem, a szlachta piesza zaczęła się rozchodzić. Wtedy z pnia dębu ostrożnie wysunął skaleczoną nogę Dobosz, wychylił głowę z przepalonym włosem, z iskrzącemi oczyma, i odetchnął świeżém powietrzem — tak był go łakomy, że długo, długo z otwartemi ustami chwytał chciwie zbawczy żywioł. Jazdę już tuman kurzawy zakrywał, szlachta już nikła w lesie: wówczas wyskoczył rzeźwo, i upadł bolami zmęczony na zieloną murawę.

Z dalekich stron Pokucia spieszyła szlachta i gromady wieśniaków na jarmark do Bolechowa. Pędzono stada rosłych bessarabskich wołów, koni. Skrzypiały kryte mazie, a telegi i kolasy pełne mieszczan, szlachty i przybranych szlachcianek, zapełniły cały gościniec. Kupcy z Lwowa i Bukowiny rozkładali na rynku towary. Wszystkie gospody były przepełnione. Kobziarze, lirnicy napełniali śpiewem

rynek i cmentarze, a ślepcy z sakwami na plecach, oprowadzani przez młodych chłopaków, nucili pieśni nabożne. W największéj gospodzie, w wśród miasta, najznamienitsi goście zasiedli. Dziedzice wsiów, dzierżawcy i ci, co przybyli ze stadami wołów i końmi. Tu się usnowy zawierały, sprzedawano, kupowano, a złoto i srebro brzękiem swoim górowało nad gwarnym hałasem, brzękiem szklanek i butelek, które wypróżniano ochoczo. Dwa antały Węgrzyna już wypróżniono, a beczka starego maliniaku była na schyłku. Żyd arendarz uwijał się żwawo, ledwie mogąc wystarczyć, nalewać, podawać i zgarniać pieniądze. Kręcąc się po izbie szerokiéj, dwa razy już Hucuła, co mu zawadzał, wypchnął za drzwi, a góral zawsze wracał, jakby przeglądając w izbie gości i rachując pieniądze. Właśnie Abraham czarny (tak zwano arendarza) przeliczał z garści złoto, gdy podniósłszy oczy, spotkał wzrok dziki Hucuła, co tkwił na czerwońcach. Żyd zadrżał, nie rachując daléj, wsypał w kiesień, a przystąpiwszy do górala, nalał mu szklankę wódki: »No, pijcie komotrze, a idźcie sobie, bo tu ciasno. Ten wychyliwszy szklankę, wyszedł do sieni. Na środku rynku powstała kłótnia; ten sam góral pochwycił za worek żydowi; gdy ten zaczął wzywać pomocy, uderzył go silnie obuchem toporka, a żyd upadł krwią zlany. Szlachta przytomna i towarzysze z chorągwi pancernéj, przysunęli się do górala, poczęli mu grozić; ale ten odwinął bundę, dobył z za pasa parę pistoletów i wziął na cel najbliższych. Rozskoczył się tłum bojaźliwie, ci nawet co dobyli szabel; a Hucuł zahuknął trzy razy. Nagle ze wszystkich stron zagrzmiały głosy: »Dobosz! Dobosz!« i stu mołodzców ze strzelbami na ramieniu a toporkami w ręku otoczyło rynek cały. Ten głos, to groźne imie rzuciło postrach na całe miasto, a kto zdołał dosieść konia, telegi lub kolasy, uciekał co żywo. Uderzono na gwałt w dzwony cerkwiów, a trwożliwe tłumy jeszcze większy strach przejął. Kilkudziesiąt szlachty i towarzyszów pancernych wybiegło na najbliższy cmentarz, zawarli wrota, a ukrywszy niewiasty w cerkwi, zagrozili dzielnym oporem. Z wielkiéj gospody wszystko uciekało, ale nie wielu mogło wybiedź. Abraham czarny, otulony w kącie, przyciskał drżącemi rękami nieprózne kieszenie, nie zwracając nawet oczu na trzosy i rozsypane na stołach złoto, które w powszechnéj trwodze zostawiono, ratując żywot. Kilka strzałów rozpędziło tłum na rynku: nagle roztworzyły się drzwi gospody i Abraham czarny poznał pierwszego Hucuła, co wchodził na czele kilkunastu opryszków. Na dany przez niego rozkaz, dwóch opryszków wyciągnęło Abrahama z kąta; a gdy ten upadł na kolana, Dobosz oberznął mu kieszenie i puścił wolno. Kiedy jedna część zbójców pládrowała gospody i kramy, druga znaczniejsza otoczyła cmentarz. Już padło kilka trupów na cmentarzu; już i trzech opryszków wyzionęło ducha od sztućców pancernych, gdy pokazał się Dobosz. Wywijał nad głową toporem i pokrzykiwał na swoich, a opryszki biorąc jego imię za hasło, szli zapamiętale. Wiedział Dobosz, po jaką sięga zdobycz; większa część złota, niż ta, którą zdobył, spoczywała w trzosach obleżonéj szlachty. »Bierz go na cel! jeno dobrze!« zawołał na swoich rotmistrz pancerny. — »*Pele tego*, na mego patrona!« krzyknął wąsaty Janusz, szlachcic z Zahajpola: »jeżeli ja go z mojéj jordanki nie ubiję, to mu i bies nie da rady.« I przez furtkę wysunął długą lufę, zmierzył — zagrzmiał wystrzał, a Dobosz podskoczył i przykląkł. »Ognia do tych pogan! *pele tego*!« wołał Janusz, nabijając z pospiechem swoję jordankę: błysł ogień ze strzelb dwudziestu, ale opryszki już się rozpierzchli, porwali Dobosza i ukryli się za najbliższem domostwem. Wkrótce wybuchnął ogień w tym domu, daléj na rynku i za cerkwią; a gdy mieszczanie spieszyli ratować miasto w płomieniach, opryszki unosząc na barkach swego wodza, znikli w górach, obciążeni bogatą zdobyczą, pędząc przed sobą stado tłustych wołów, wiele maż z towarami i kolas szlachcie zabranych.

Pod zielonym gajem chodzi Dobosz, na sopiłce (fujarce) wygrywa, a na nogę upada, toporem się podpiera i na chłopców pokrzykuje: »Oj wy chłopcy, wy mołodcy, zbierajcie się Sinogórce, pojdziem w gościnę! Wstańcie raniutko, ubierzcie się w skorzane postoły, w wołoki wstążkowe, bo pojdziemy do Stefana Dzwinki i do krasnéj jego żonki.« — Opryszki: »Oj Doboszu! ty panie nasz, tam nas spotka przygoda!« — Dobosz: »Bez obawy, na mnie uważajcie, po dwie kule nabijajcie! stańcie chłopcy pod wrotami, ja pojdę pod okno.« Dobosz stukając w okiennicę: »Dobry wieczór, Stefanowa! a wieczerza, czy gotowa? Czy śpisz serce i czy czujesz — czy Dobosza zanocujesz?« — Stefanowa: »Oj ja nie śpię, wszystko czuję — hajdamachy nie przenocuję.« — Dobosz: »Czy wynidziesz mi otworzyć — czy się mam dobywać?« — Stef.: »Nie każę ja się dobywać, nie pojdę sama otwierać; a trzebaby dużo siły zażyć, żeby drzwi moje wyważyć.« — Dobosz z gniewam: »Puszczaj mnie suko do chaty, żeby drzwi nie rozwalać!« — Stefanowa: »U mnie drzwi cisowe, a zamki stalowe.« — Dobosz: »Nie pomogą zamki twoje, jak podłożę plecy moje.« I począł się Dobosz dobywać, a zamki odleciały: jedne drzwi otworzył, drugie nieco uchylił, gdy Stefan Dźwinka w serce go srebrną kulą ugodził. Upadł Dobosz, ale zaraz powstał, wywlokł się z chaty, i rzekł: »Trzeba chłopcy uciekać! oj wy chłopcy, wy mołodcy! weźcie mnie na toporce! o jakże mi ciężko! nieście mię na czarną górę i położcie na kłodzie, będzie dać wiatr zimny i ochłodzi. Na czarną górę zanieście, na drobny mak rozsieczcie! niechaj oni nie zbytkują, mego ciała nie ćwiertują!« — Opryszki: »Oj Doboszu, wielka to dla nas przygoda! gdzież my będziemy zimować? gdzie latować?« — Dobosz konając: »Będziecie zimować w Stanisławowie na ryneczku, w ciężkich kajdanach i żelazie, tam będziecie nocować, a ptaki ciało wasze rozerwą.« — Wtem ludzie wpadają, zabrali wszystkich, ręce im na krzyż powiązali i przy koniach popędzili.

Wójcicki.

(Dokończenie nastąpi.)

Spis dzieł wyszłych w prowincyi naszéj w r. 1838 i na początku roku bieżącego.

(Artykuł nadesłany.)

W numerach 19. i 20. Tygodnika zdając publiczności sprawę o tem, czem w pierwszéj połowie 1838 roku prowincya nasza literaturze ojczystéj się przysłużyła, złajaliśmy księgarzy naszych, utrudniających wszelkie rozchodzenie się książek polskich po rękach mieszkańców dawnéj Polski. Dziś umieszczając w Tygodniku szczupły spis dzieł wyszłych w drugiéj połowie 1838 roku w prowincyi naszéj, uderzmy się w piersi, wyznajmy sami nasze winy i powiedzmy sobie prawdę: prawdą bowiem najlepiéj się sprawie publicznéj przysłużyć można.

Bracia nasi w Galicyi, w prowincyach ziem ruskich i Litwie mają o stanie nauk ojczystych w prowincyi naszéj przesadzone, zbyt pochlebne dla nas wyobrażenie i takowe już po kilkakroć w pismach publicznych wynurzyli: my się chełpimy i zaczynamy wierzyć, żeśmy już niezmiernie wiele zdziałali, i próby naszéj wielkiéj intellektualności, ów majsterstück, że technicznego wyrazu użyję, naszego usposobienia naukowego, zamierzamy w celu wyzwolenia się na mistrzów w trudnéj pisania sztuce, złożyć. Lecz czy w rzeczy saméj tak wiele dla nauk robimy? Bynajmniéj! Nasze zasługi są bardzo drobne, względne. Dla tego zdaje nam się, że coś na niwie literatury ojczystéj grzebiemy, iż przed kilkunastu laty niceśmy zgoła na niéj nie robili. Cała nasza literatura krąży około jednych i tych samych osób, którebyś na palcach zliczył, a między którymi pierwsze miejsce trzyma Ed. Raczyński, czyniący wydawaniem użytecznych dzieł bardzo wiele dla rzeczy ojczystych. Znajduje się w wielkiem księstwie poznańskiem z jaki tuzin piszących, i drugi zaczynający dopiero pisać autorów, i na tem kończy się szereg naszych pisarzy. Ale wiecie też, co polowa naszych autorów pisze? Oto artykuły tuzinkowe do pism peryodycznych, n. p. do Przyjac. ludu, i w pierwszem tem polu kończy zwykle za-

wod swój literacki. Do zajęcia się ważniejszą, obszerniejszą i trwalszą pracą u wielu zbywa na wytrwałości i pilności, u większéj części na zdolnościach i należytem usposobieniu. Pierwsi mogliby coś uiścić, ale trwonią, mitrężą czas na pisaniu rzeczy błahych, tak jak niegdyś najtęższe u nas głowy marnowały czas i zdolności na kłótniach o kozią wełnę. Drudzy smażą sobie głowę, puszą się, odymają, jak żaba w bajce Fedra, rażą oczy i kaleczą uszy dzikiem, nienaturalnem wysłowieniem najprostszéj nawet myśli i rzeczy i przypominają owo: na płytkim gruncie rozbujałych fluktów, a z całéj ich ramoty powikłanéj, niesfornéj i bez sensu nic nie wyciśniesz. Ci ostatni nie zdołają nigdy nic uiścić, bo im schodzi na najistotniejszym warunku pisarza, to jest na porządnem myśleniu: bez ładu w myślach i obrazach niema pisarza. Ci niech się zrzekną autorstwa i nie zarażają złą dążnością, panegiryczności młodzieży, niestety, zbyt pochopnéj do naśladowania szumności i czczéj wybujałości.

Zdawałoby się, że tak mała drużyna pisarzy w prowincyi naszéj powinna żyć w najświętszéj zgodzie i harmonii. Broń Boże! Są tu znowu odrębne kliki pisarzy, z ubliżeniem i prawdziwą szkodą nauk ojczystych. A. bije na B., B. pomiata najzasłużeńszymi pisarzami. C. chciałby opanować wszystkie pisma peryodyczne i nadać im kierunek i barwę swego sposobu myślenia i zapatrywania się na rzeczy. D. ujmuje wszelkich zasług redakcyom pism peryodycznych w w. księstwie poznańskiem, utrzymując, że pisma te same się redagują; jak gdyby najprostsza nawet machina, n. p. kołowrotek mógł się bez ręki ludzkiéj obracać! E. chce wydawać nowe pismo peryodyczne, jakiego jeszcze na świecie nie było: to jest, ma ono być wszystkiem dla wszystkich i zniweczyć ów staropolski przesąd: jeszcze się nie urodził, któryby wszystkim dogodził i t.d. — Ale przejdźmyż teraz do czytelników.

Rzadki jest kraj w Europie, w któryby tak mało czytano, jak w dawnéj Polsce. Jestto odwieczna wada nasza. Na ten wstręt ku czytaniu narzekał już sławny Skarga, nazywając swoich współczesnych teskliwymi w czytaniu. Za jego przecież czasów była jeszcze jakaś klassa czytających; był pewien rodzaj literatury powszechnie czytany: tą klassą było duchowieństwo świeckie i zakonne wszelkich reguł; tym rodzajem literatury pisma polemiczne, ascetyczne i Żywoty ś. Sam Skarga dożył kilku wydań dzieł swoich. Cóżby dziś powiedział, gdyby zmartwychwstał i ujrzał po księgarniach naszych stósy najwyborniejszych dzieł od lat kilku, a nawet kilkunastu wyszłych, pyłem okrytych? Cóżby powiedział, gdyby się przeszedł po naszych miastach, miasteczkach i wsiach i znalazł po dworach ślacheckich, po plebaniach biblioteki złożone z kalendarza, officyum codziennego, ołtarzyka złotego, brewiarza, rubrycelli, agendy? Że nie przesadzam, mówi za tem sama rzecz, samo doświadczenie. Wiecie też np. ile się rozeszło Pamiętników Paski po całéj dawnéj Polsce? Oto zaledwie 500 exemplarzy, z tych utkwiło może około sto w naszéj prowincyi. Gdy tak ważne, tak popularne, tak dla każdego przystępne dzieło, tak mało pokupu znalazło, cóż mówić o innych dziełach? I nie dziw, że się książki u nas nie rozchodzą: czytanie nie jest jeszcze w kraju naszym, jak w Niemczech, Anglii albo Francyi, potrzebą życia, pokarmem duszy. Dla tego też mało jest, niezmiernie mało piszących; inaczéj być nie może: niema konsumentów, nie może być producentów. Witwicki i M. Grabowski narzekają, może i po części słusznie, że Publiczność czyta tylko dzieła francuzkie. Pozwolmy jéj czytać i po francuzku, byle czytała: przeczytawszy książkę francuzką weźmie może do ręki i polską. Przynajmniéj tak się dzieje w naszéj prowincyi; przeciwnie ci, którzy po francuzku nie czytają, nie czytają nic zgoła.

Potem, cośmy o pisarzach i czytelnikach naszych powiedzieli, nikt się nie zgorszy, że w prowincyi złożonéj z 1200000 mieszkańców, graniczącéj z innemi prowincyami Polski i z Prusami zachodniemi, w których jest mnóstwo mieszkańców polskich, w ciągu półroku tak mało dzieł wyszło. Te zaś są:

a. z historyi:
1) Gabinet medalów polskich. Przez Edwarda Raczyńskiego. W Wrocławiu 1838. 2 tomy. *4to.* Obok z przekładem francuzkim.
2) Wyprawa jenerała Jana Henryka Dąbrowskiego do Wielkiéj-Polski w roku 1749. Wydana przez Edw. Raczyńskiego. W Poznaniu 1839 roku.
3) Obraz historyczno-statystyczny miasta Poznania, przez J. Łukaszewicza, w Poznaniu 1838 r. 2 tomy.
Pod prassą znajdują się w Poznaniu: Pamiętniki Albrychta Stanisława Radziwiłła, i *Codex diplomaticus majoris Poloniae*, wydane przez Edw. Raczyńskiego. W Lesznie: Mała encyklopedya Polska (przez St. Platera.)

b. z filologii:
1) Biblioteka klassyków łacińskich, wydawana przez Ed. Raczyńskiego, tom obejmujący erotyków rzymskich, Tybulla, Katulla i Propercyusza. W Wrocławiu 1838.
Pod prassą znajduje się w Poznaniu: Przekład Pliniusza starszego; w Wrocławiu: Przekład Witruwiusza, wydane przez Ed. Raczyńskiego.

c. z technologii i agronomii:
1) Trzeci tom dzieła Blocka o gospodarstwie, przełożonego i wydanego przez Żupańskiego i Mendycha. W Poznaniu 1838.
2) Przewodnik do lepszego chodowania koni szczególniéj ku pożytkowi małych gospodarstw. Poznań 1838. Obok z niemieckiem. Wydane przez Szerka.
3) O nawozach p. Kamińskiego, wydane przez p. Szerka.

d. z teologii:
1) Nauka chrześciańsko-katolickiéj religii historycznym sposobem dla użytku szkół elementarnych wyłożona. Z niemieckiego. Leszno 1838.
2) Pismo święte. W Poznaniu 1838. (Dla wyznań ewangielickich.)
3) Eustachiusz, powieść z pierwszych wieków chrześciaństwa. W Lesznie 1838. Wydane przez Güntra.
Pod prassą w Lesznie: Wybór kazań polskich, przez X. Tyc.

e. z literatury pięknéj:
1) Ziemiaństwo Koźmiana. Wrocław 1839.
2) Nowe wypisy Polskie, część druga, zawierająca historyą prozy polskiéj. W Lesznie 1838.
3) Dykcyonarz polsko-niemiecki, przez K. Trojańskiego. Poznań 1838. 2 tomy. Wydane przez Mittlera.

f. z medycyny:
1) Przewodnik do pielęgnowania chorych; przez Ludwika Gąsiorowskiego, Dr. med. i chirurgii. Przekład z niemieckiego. W Poznaniu 1838.
Pod prassą w Poznaniu: Historya sztuki lekarskiéj w Polsce, przez Dr. Lud. Gąsiorowskiego. *G.*

Szachy.

(Dalszy ciąg.)

POZNAŃ. Białe.	BERLIN. Czarne.
6)	Dama G 5 — G 2 bierze
7) Wieża H 1 — F 1.	

Omyłka drukarska. W Nr. 47. Tygodnika pod Pieśnią Wiślańską wydrukowano zamiast cyfry *G. E.* — *E. W.*

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca 2 Talary półrocznie przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami W. *Deckera i Spółki.*